



tekst

MARCIN WÓJCIK

redaktor wydania

O trzaskaliśmy się z miłością. Pojęcie jest wyświechtane za sprawą kolorowych brukowców, które mylą miłość z pożądaniem, seriali, w których główni bohaterowie kochają się tylko przez pięć odcinków, a w szóstym już nie, bo pojawia się ktoś nowy. Ale uwaga, uwaga! Katolicy również ograniczają miłość, sprowadzając ją tylko do czystej abstrakcji. O miłości twórczej na str. III. Kolejne słowo, z którym się „otrzaskaliśmy”, to „sybirak”. Może po przeczytaniu historii Sylwestra, który musiał z wilkami walczyć w stepie o wołowinę, określenie „sybirak” stanie się nam bliższe.

W dzień św. Cecylii, patronki muzyki kościelnej, **do Żyrardowa zjechały zespoły oraz schole młodzieżowe i dziecięce.**

Cecyliada jest formą rozwoju, zabawy, odskoczni od codziennych spraw, pozwala na ośmielenie samego siebie – powiedział Mateusz Nowak, który oceniał występy wykonawców. – Jest to dla niektórych jedyna szansa na zaśpiewanie na ogromnej scenie, z profesjonalnym sprzętem, nagłośnieniem i kolorowymi światłami – dodaje Aleksandra Bronowska, również z jury.

Cecyliada 2009 została zorganizowana 22 listopada przez parafię śś. Cyryla i Metodego w Żyrardowskim Centrum Kultury. Swoje umiejętności zaprezentowali młodzież, dzieci, a nawet dorośli z kilku parafii. – Oczywiście, liczy się sam występ na scenie,



Schola dziecięco-młodzieżowa z Jesionki. W tym roku po raz pierwszy brała udział w Cecyliadzie

ale chcę również podkreślić, że dzieci bardzo przeżywały przygotowania – mówi Aneta Olszewska, przedstawicielka scholi z parafii w Jesionce. – Zorganizowaliśmy casting, były próby. Przygotowania zgrały cały zespół – podkreśla Olszewska.

Gościnnie na scenie wystąpił zespół Stróżę Poranka. – Imprezy, takie

jak Cecyliada, to miejsce spotkania – podkreśla Magdalena Maszewska z jury. – Miejsce spotkania wszystkich tych, którzy kochają śpiewać, a przede wszystkim pragną wielbić w ten sposób Pana Boga.

No i, poza tym, kto śpiewa, ten modli się podwójnie.

js

Ach, Panie, Panowie!



STACJA KUTNO. To jedno z najambitniejszych wydarzeń w kalendarzu kulturalnym nie tylko Kutna, ale i całego regionu

W niedzielę 22 listopada koncert galowy „Ach, Panie, Panowie!” zakończył tegoroczną „Stację Kutno”, czyli Piąty Ogólnopolski Konkurs Piosenek Honorowego Starosty Kutnowskiego Jeremiego Przybory. Dzień wcześniej odbył się koncert konkursowy, w którym wystąpiło 13 wokalistów. Do przeglądu przygotowywała ich m.in. znana jurorka Elżbieta Zapendowska. I miejsce przypadło Agnieszce Czapi-Trzepizur z Warszawy, II – Ewelinie Stankiewicz z Kutna, a III – Małgorzacie Szarek z Warszawy. – Jury podkreślało, że tak wysokiego poziomu jeszcze nie było – mówi Krzysztof Ryzlak, inicjator „Stacji Kutno”. Niedzielny koncert galowy rozpoczął się od występu Anny Guzik, Karoliny Nowakowskiej i Roberta Kudelskiego, którzy wykonywali piosenki ze słowami Agnieszki Osieckiej.

dk

Apel w środku

PIĄTEK. W środę 18 listopada uczniowie Szkoły Podstawowej uczestniczyli w Ogólnopolskiej Akcji „Wypadki na drogach – porozmawiajmy”. Podczas szkolnego apelu minutą ciszy uczczono pamięć ofiar wypadków drogowych. Następnie szkolna delegacja wzięła udział w Marszu Milczenia w Środku Polski „Stop Wypadkom Drogowym”.

Uczniowie szli w marszu w kamizelkach odbłaskowych, które szkoła otrzymała w ubiegłorocznej akcji jako wyróżnienie. Na czele pochodu szedł chłopak ze znakiem „stop”. Uczestnicy przeszli na cmentarz w Piątku, gdzie zapalili znicze na grobach absolwentów szkoły – ofiar wypadków drogowych.

Oprócz symbolicznego marszu uczniowie – w imieniu wszystkich dzieci – napisali apel do kierowców, który został przesłany organizatorom akcji.

ug

Nowoczesny senior



Teresa Michałowska jest jednym z dwóch laureatów nagrody ministra pracy i polityki społecznej z woj. mazowieckiego

WARSZAWA–SOCHACZEW. Co roku w Dniu Pracownika Socjalnego minister pracy i polityki społecznej przyznaje nagrody „za wybitne, nowatorskie rozwiązania

w pomocy społecznej”. Wśród 10 laureatów tegorocznych nagród indywidualnych znalazła się Teresa Michałowska, dyrektor Dziennego Domu Pomocy Społecznej w Sochaczewie. W województwie mazowieckim indywidualnie, poza T. Michałowską, nagrodzono tylko kierownika GOPS w Opinogórze Górnej.

Teresa Michałowska od 2006 r. jest dyrektorem DDPS w Sochaczewie. Przez te trzy lata konsekwentnie zmienia oblicze placówki. W 2007 r. powołała Klub Seniora, gdzie spotykają się pensjonariusze DDPS oraz inni seniorzy z miasta. Przy klubie działa kafejka internetowa. Powołano także Punkt Informacji Seniora, gdzie można dowiedzieć się, jak uzyskać pomoc i co robić z wolnym czasem, dowiedzieć się, jak dbać o zdrowie. Teresa Michałowska realizuje projekty socjalne mające służyć integracji i przeciwdziałaniu marginalizacji starszej generacji.

dw

Poloneza czas zacząć



SOCHACZEW. Koncertem w wykonaniu jurorów rozpoczął się w czwartek (19 listopada) XVII Międzynarodowy Festiwal Chopinowski na Mazowszu,

organizowany w sochaczewskiej Państwowej Szkole Muzycznej I i II stopnia. Licznie zgromadzona w sali koncertowej publiczność wysłuchała programu, na który

złożyły się kompozycje F. Chopina i J.S. Bacha. Koncert był wstępem do rywalizacji młodych utalentowanych pianistów, których przesłuchania odbywały się w następnych dniach. Zaprezentowali się soliści z całej Polski oraz

z Rosji, Ukrainy, Włoch i Węgier. Nagrodą dla najlepszych będą koncerty w Warszawskim Towarzystwie Muzycznym i Mazowieckim Centrum Kultury i Sztuki. Festiwal to dobre prelude do zbliżającego się wielkimi krokami Roku Chopinowskiego.

ht

XVII Międzynarodowy Festiwal Chopinowski na Mazowszu rozpoczął się koncertem jurorów

Cha-cha z Panem Bogiem

ŁÓDŹ. Około 3 tys. osób przyszło 21 listopada na dyskotekę ewangelizacyjną, którą zorganizował Ruch Światło-Życie. Impreza pod hasłem „Spiritual Attack” odbyła się w klubie „Heaven”. Dyskotekę

oficjalnie otworzył biskup Ireneusz Pękalski. Była nie tylko zabawa, ale i czas na spowiedź. W konfesjonalach na młodzież czekało 30 kapłanów. W programie znalazły się także świadectwo

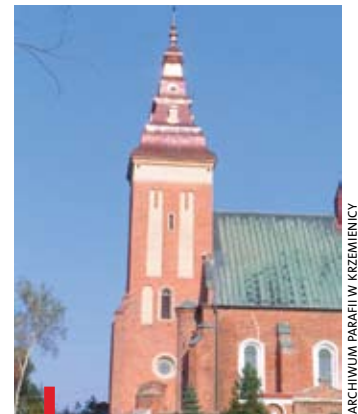
wiary słynnego boksera Tomasa Adamka oraz pokaz mody chrześcijańskiej. Warto dodać, że kilkutyśne towarzystwo bawiło się bez alkoholu.

dk

Gdzie ślubował Wołodyjowski

KRZEMIENICA. W listopadzie br. zakończyły się trwające od sierpnia prace konserwatorsko-remontowe przy wieży kościoła pw. św. Jakuba Apostoła. Naprawiona została wieżba dachowa wieży i pokryto ją blachą miedzianą, a także naprawiono i zakonserwowano elewację zewnętrzną wieży. Całkowity koszt prac wyniósł ponad 500 tys. zł, z czego większość pochodziła z dotacji. – Największą sumę – 250 tys. zł – uzyskaliśmy z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego – wyjaśnia ks. Jacek Kijewski, proboszcz. – 20 tys. zł przekazała gmina Czerniewice. Wsparcia w wysokości 20 tys. zł udzielił także bp Andrzej F. Dziuba. Pozostała kwota pochodziła z ofiar parafian oraz z pożyczki otrzymanej od diecezji – wymienia ks. J. Kijewski. Odnowiona wieża kościoła pochodzącego z XVI w. zachęca do zwiedzania świątyni, w której – warto dodać – kręcona była scena do filmu „Pan Wołodyjowski”. To nie gdzie indziej, ale właśnie w kościele w Krzemienicy Michał Wołodyjowski złożył ślubowanie, że nie podda Kamieńca.

as



Odnowiona wieża zyskała nowy blask

ARCHIWUM PARAFII W KRZEMIENICY

GOŚĆ ŁOWICKI

lowicz@goscmedzielny.pl

ADRES REDAKCJI: 99-400 Łowicz, ul. Seminaryjna 6a,

REDAGUJA: Marcin Wójcik – dyrektor oddziału (tel. 666 026 771), Bohdan Fudała, Agnieszka Napiórkowska, ks. Wiesław Kacprzyk – asystent kościelny



AGNIESZKA NAPIOROWSKA

**Bp Andrzej
F. Dziuba**

W języku polskim słowo „miłość” ma bardzo wiele znaczeń. (...) odnosi się zarówno do uczucia między zakochanymi, do troski rodziców o dzieci, do mądrego patrzenia na siebie i innych oraz brania odpowiedzialności za swoje czyny. Miłość dla uczniów Chrystusa nie jest dowolnym wybieraniem znaczenia tego słowa.

Bycie chrześcijaninem to ciągłe spotkanie się z Chrystusem, to odpowiadanie na przychodzącą od Niego miłość, która jest zarazem darem, jak i drogą.

To On pierwszy nas umiłował (por. 1 J 4,10) – uczy św. Jan. Na tę miłość nie można nie odpowiedzieć, zresztą jeśli daru Bożego nie przyjmujemy, (...) wybieramy rozpacz i brak nadziei. Nadprzyrodzona miłość może stać się naszą, jeśli przyjmujemy Chrystusa z Jego przykazaniami, jeśli Jego Osoba będzie dla nas ważna w wyborach, których dokonujemy.

Apostoł mówi: „Bóg jest miłością” (1 J 4,8). (...) Człowiek musi nauczyć się, jak przyjąć Boży dar. Bezinteresowna Boża miłość winna być podstawą dobrego postępowania. Miłość ma kształtować całość życia chrześcijańskiego, a zatem to nie tyle „dobre uczynki”, co przede wszystkim styl życia.

Fragment listu biskupa łowickiego na rozpoczęcie roku duszpasterskiego 2009/2010

Dary mierzone wielkością serca

Grosz babci przedstawicielki

Z ordynariuszem diecezji łowickiej **bp. Andrzejem F. Dziubą** na temat Miłości głoszonej w parafiach rozmawia Marcin Wójcik.

MARCIN WÓJCIK: „Bądźmy świadkami Miłości” to hasło nowego roku duszpasterskiego. Jak je wcielać w życie konkretnej parafii?

BP ANDRZEJ F. DZIUBA: – Program na ten rok to uwieńczenie ogólnopolskiego programu duszpasterskiego, przyjętego na lata 2005–2010, który zamyka się w hasło: „Kościół niosący Ewangelię nadziei”. W tym roku w pierwszą niedzielę Adwentu Kościół rozpocznie realizację piątego już etapu. Tym razem chcemy podkreślić Miłość, pisaną przez duże „M”, bo Bóg jest Miłością. Kościół wzywa wiernych do otwarcia się na tę Miłość. Dopiero z tego otwarcia będą rodziły się w parafiach owoce, takie jak dzieła miłosierdzia prowadzone przez Caritas czy też zapał misyjny. Misyjność również wpisuje się w hasło „Bądźmy świadkami Miłości”. Przede wszystkim trzeba podkreślić, że miłość musi być czymś twórczym, nie abstrakcyjnym.

Jak ma wprowadzić w życie wezwanie do zapału misyjnego sędziwa pani z niewielkiej parafii Leśmierz?

– A czy św. Teresa od Dzieciątka Jezus była kiedyś na misjach? Nigdy. Całe życie spędziła za murami klasztoru, a mimo to została patronką misji. Posługa misyjna to wymiar modlitewny, gospodarczy, kulturalny i... jak najbardziej obejmuje budowanie studni w Sudanie, bo studnia przedłuża życie. Nieważne, ile kto rzuci groszy



AGNIESZKA NAPIOROWSKA

– Za bardzo skoncentrowaliśmy się na rodzinie patologicznej – mówi ordynariusz

na poszukiwanie wody w Afryce. Posługa darów materialnych mierzona jest wielkością serca. Przywołany Leśmierz będzie miał swoją babcię przedstawicielkę, która ofiarowała grosz na studnię, ale i dar serca. Ten dar serca powinien wypływać z miłości, nie ze współczucia czy litości. My mamy świadczyć o Miłości wśród Murzynów, Azjatów, ale i wśród domowników, najbliższego otoczenia. Świadczyć o Miłości to dawać miłość.

Najlepszą szkołą miłości dla młodego pokolenia jest zdrowa rodzina. Czy zgodzi się Ksiądz Biskup z opinią, że Kościół w duszpasterstwie za bardzo skupił się na dzieciach, a mniej na ich rodzicach?

– Myślę, że przede wszystkim za bardzo skoncentrowaliśmy się na rodzinie patologicznej. Za to zbyt mało akcentujemy piękno życia małżeńskiego i rodzinnego, bo ono wydaje się czymś oczywistym. Episkopat Polski wydał w tym roku dokument o rodzinie, o jej pozytywnym obrazie. Warto do tego dokumentu powracać.

Wręcz powszechne jest, że na Msze św. dla dzieci przychodzą również dorośli. Byłem

niedawno na takiej Mszy w Żyrdardowie i tam też przyszło sporo rodziców. To jest okazja, by trafić zarówno do dzieci, jak i do dorosłych. Na pewno duszpasterstwo dzieci daje kapłanowi większą płaszczyznę do odkrywania pewnych predyspozycji. Jednak najpiękniejszym i najbardziej pożądanym duszpasterstwem jest duszpasterstwo rodzinne, duszpasterstwo całych rodzin. Nie może go zabraknąć, zwłaszcza dzisiaj, kiedy mamy plagę rozwodów, związków na próbę – bez sakramentu małżeństwa czy nawet bez uregulowań cywilnych. To ucieczka przed odpowiedzialnością. Ale Kościół musi wziąć odpowiedzialność za tych ludzi.

Nie boi się Ksiądz Biskup, że miłość zostanie sprowadzona w duszpasterstwie tylko do cnoty teologicznej, a zabraknie konkretów?

– W diecezji odbywają się spotkania rejonowe dla księży, na których prezentowany jest program nowego roku duszpasterskiego. Jeżeli duszpasterze pojmą go w należyty sposób, to wtedy miłość nie stanie się tylko cnotą teologiczną, ale miłością agape, caritas. ■

Księża z pasją – cykl „Gościa”

Towarzyski egoista

– **Ja to robię przede wszystkim dla siebie** – deklaruje kolejny bohater naszego cyklu. Bardzo trudno w to uwierzyć, nie tylko patrząc na jego szelmowski uśmiech, ale przede wszystkim na skutki tego „robienia dla siebie”.

Ksiądz Andrzej Sałkowski, o którym dzisiaj piszemy, jest proboszczem raczej krótko, ale w parafiach, gdzie był (jest) duszpastrzem, zdążył już odcisnąć swoje piętno.

Czysty amator

– Nigdy nie uprawiałem sportu wyczynowo, za to próbowałem wielu dyscyplin – opowiada ks. Sałkowski. W tych wielu dziedzinach znalazły się tak egzotyczne – przynajmniej w naszej, położonej w centrum Polski, diecezji – jak taternictwo czy nurkowanie. Jednak dla niego samego, jak i parafian najważniejsze są dyscypliny najbardziej popularne, stojące na granicy rekreacji: piłka nożna, badminton, bilard, jazda na rowerze. Dlaczego najważniejsze? Bo do wspólnej zabawy można wciągnąć znacznie szersze grono osób. – Po prostu lubię grać w piłkę, a że trudno grać samemu, zapraszam ministrantów – tłumaczy z żelazną logiką ks. Sałkowski. I tak, dzięki sportowemu zacięciu proboszcza, kolejna parafia wystawia reprezentację w diecezjalnym turnieju o puchar biskupa.

Podobnie z – weźmy na to – bilardem. Na plebanii w Żelaznej, gdzie obecnie proboszczuje ks. Andrzej, stoi stół bilardowy. Korzysta z niego proboszcz, mogą grać ministranci. Pod warunkiem. I tu się kłania aspekt wychowawczy: chłopcy muszą wzorowo wypełniać swoje obowiązki.



BOHDAN FUDAŁA

Partyka bilarda na plebanii? Czemu nie!

Od przedszkolaka do dziadka

Ulubioną formą ruchu ks. Sałkowskiego jest przejażdżka rowerowa. Banalne? Nie do końca. W pobliżu obecnej parafii, gdzie urzęduje ks. Andrzej, nie ma malowniczo położonych miejsc kultu. Ale na poprzedniej placówce – w Rdotowie – proboszcz Sałkowski inicjował pielgrzymki na jednośladach. Co roku odbywały się dwie – do Lichenia i do innego miejsca. Rowerzyści nawiedzili relikwie św. Wojciecha w Tumie, sanktuarium maryjne w Głogowcu, rodzinną miejscowość św. s. Faustyny Świnice Warckie. W wyprawach uczestniczyło każdorazowo ponad 60 osób, co – jak na niewielką parafię – stanowi dużą grupę. Ilość chętnych do udziału w nich świadczyła, jak wysoce był to trafiony pomysł. Tym bardziej że na rowery wsiadali ludzie w każdym wieku – od dzieci po emerytów. Notabene obecny proboszcz z Rdotowa kontynuuje ten zwyczaj.

– Każda wyprawa, wycieczka rowerowa jest okazją do lepszego poznania się, do rozmowy – zaznacza ks. Andrzej i dlatego jednym z jego pierwszych posunięć w nowej parafii było urządzenie takiej wycieczki.

Będąc jeszcze w Rdotowie, ks. Sałkowski wystąpił z inicjatywą zorganizowania spartakiady dla miejscowej młodzieży i niepełnosprawnych. Impreza, wsparta przez Gminny Ośrodek Pomocy Społecznej, cieszyła się sporym powodzeniem, uczestnicy przyjechali nawet z Kłodawy i Koła.

Jak zauważa ks. Andrzej, co zresztą potwierdza codzienna obserwacja, coraz trudniej wyciągnąć ludzi z domu. Zamknięci w czterech ścianach, przy komputerach i telewizorach, bardziej bytują w świecie wirtualnym niż prawdziwym. Dlatego dobrze, gdy proboszcz zaproponuje im wspólny wypad na rowery. Nawet, gdy robi to z myślą o sobie.

Bohdan Fudała



Ulubionym miejscem rowerowych pielgrzymek parafian i proboszcza z Rdotowa był Lichen



Ten kolarz to proboszcz z Żelaznej

Ile może zdziałać zwykły plastikowy korek?

Nakręcona nadzieja

„Mam 23 lata i już za sobą całe życie: studia, ciekawą pracę, przyjaciół, wyznaczoną datę ślubu...” – napisał Robert Pietras z Nowego Dworu Mazowieckiego.

Przed sobą cierpienie, upokarzającą bezradność, wegetację i brak sensu istnienia – kontynuuje Robert. „30 sierpnia 2008 roku uległem tragicznemu w skutkach urazowi kręgosłupa i jestem całkowicie sparaliżowany! Wygrałem – co prawda – walkę o życie (2 ciężkie operacje), ale od wielu miesięcy zmagam się z chorobą, nie opuszczając szpitalnych łóżek. Każdego dnia, podczas ćwiczeń rehabilitacyjnych, z determinacją podejmuję wysiłek odzyskania sprawności. Jeszcze mam siłę, odwagę i nadzieję. Dużo nadziei.

Marzę, by móc przywrócić władzę choćby w rękach i pracować w swoim zawodzie informatyka, nie będąc ciężarem dla rodziców i dla społeczeństwa. Jednak dalsza długa rehabilitacja jest bardzo kosztowna, na którą nie stać mojej rodziny. Ale Wy, Szanowni Państwo, możecie mi dać szansę na powrót do życia. Liczę na ten piękny gest, który dla mnie – sparaliżowanego człowieka – oznacza wszystko: motywację do dalszej walki z chorobą, wiarę w siebie, a zwłaszcza nadzieję, że moje życie będzie jeszcze coś warte. Dajcie mi tę nadzieję!”.

Młodzież i dzieci z Żyrardowskiego Oratorium św. Jana Bosko nie pozostali obojętni na prośbę Roberta i postanowili dać mu nadzieję w dość oryginalny sposób. Na plakatach, które przez kilka miesięcy wisiły w szkołach, informowali: „Zbieramy plastikowe nakrętki od butelek po wszelkich napojach. Dla nas liczy się każdy kilogram, a nawet każda nakrętka.

Jeśli masz możliwość, przyłącz się do nas i pomóż zbierać nakrętki. Każdy zebrany kilogram to kolejna złotówka, przeznaczona na zakup wózka inwalidzkiego. Do 11 listopada zbieramy na wózek dla Roberta Pietrasa”.

No i nazbierali 50 worków koreczków. Wyszło około tony plastiku. Nakrętki zostaną przekształcone w surowiec wtórny przez firmę recyklingowe. Uzyskany w ten sposób dochód przeznaczony jest na konkretny cel – w tym przypadku na wózek dla Roberta.

Dlaczego nakrętki? – Bo są wszędzie. Są łatwo dostępne. Każdy ma z nimi do czynienia w życiu codziennym – młodzi z popularnymi napojami gazowanymi, starsi z wodą mineralną, gospodynie domowe z płynem do naczyń, kierowcy z zakrętkami płynu do spryskiwaczy itd. – podkreśla młodzież z Oratorium św. Jana Bosko. **dk**

Młodzież i dzieci z Oratorium św. Jana Bosko w Żyrardowie nazbierały 50 worków nakrętek



tyczek wieści z Gościem

Choć to nie 8 marca, w tym „Łyczku” prym wiodą kobiety. W wywiadzie dla portalu e-Sochaczew.pl poseł Jolanta Szymanek-Deresz mówi: „Afera hazardowa z »Mirem« i »Zbychem« w rolach głównych znów sprawiła, że wizerunek posła ucierpiał. Wyborcy oczekują przecież wysokich standardów i uczciwości”. Chwilę później pani Jolanta podkreśla: „Myślę, że moi wyborcy nie muszą się za mnie wstydić, kiedy zaczynałam pracę, znalazłam się w gronie 12 najlepszych parlamentarzystów wyróżnionych w rankingu »Polityki«... Ho, ho, ho! Kiedy to było! Są nowsze badania. W rankingu „Rzeczpospolitej” Jolanta Szymanek-Deresz znalazła się na najwyższym podium wśród najlepiej ubranych posłanek.

Uwaga, uwaga! Po Sochaczewie szaleją na miotłach Perfekcyjne Babki. Te panie cenią czystość i porządek. Perfekcyjne Babki to nazwa firmy sprzątającej. Tworzy ją zespół kobiet, które wiedzą, jak ważny jest porządek w naszym otoczeniu i jak trudno przed świętami znaleźć gospodyni czas na wygrzebywanie „kotów” spod komody.

Wojewoda łódzki Jolanta Chełmińska celuje w kontakty międzynarodowe. Na początku listopada spotkała się z ambasadorem Białorusi, licząc na współpracę gospodarczą. Kilka dni później gościła – uwaga, to nie błąd! – ambasadora nadzwyczajnego i pełnomocnego Meksykańskich Stanów Zjednoczonych w Polsce Raphaela Stegera. Cokolwiek ten tytuł znaczy, chodzi o ożywienie kontaktów kulturalnych i gospodarczych Meksyku z województwem łódzkim.



KS. T. ZIELIŃSKI

■ R E K L A M A ■

Przedsiębiorczość
antidotum na kryzys

Codziennie o godz. 12.40 na antenie Radia VICTORIA

Przedsiębiorczość – antidotum na kryzys
Od 19.10.2009 r. do 16.05.2010 r.

KAPITAŁ ŁÓDZKI
Lodzkie Przedsiębiorstwo Inicjatyw Inwestycyjnych

UNIA EUROPEJSKA
Europejski Fundusz Inicjatyw Regionalnych

Victoria

To nie wilki rozsz

ŻYCIE NA STEPIE.

Trudne doświadczenia w dzieciństwie spowodowały, że **pan Morawski nie lubi zupy z zieleciną i dalekich podróży.**

tekst

MARCIN WÓJCIK

mwojcik@goscniedzielny.pl

Sylwester z siostrą Barbarą w gonionego bawił się w wielkim, czteropokojowym mieszkaniu. Zresztą rodzice woleli mieć ich w zasięgu wzroku, zwłaszcza po tym, co syn zrobił w kościele. Właściwie to on nic nie zrobił, tylko przyniósł na Mszę św. gaz łzawiący. Koledzy ministranci wydarli mu go z rąk i niechętnie zahaczyli o dzwonki. Gaz się rozpylił, a ludzie uciekali z kościoła z płaczem. Po tym incydencie przez jakiś czas Sylwester uwalniał się od wzroku rodziców dopiero, kiedy razem z siostrą szedł do szkoły.

Morawscy sprowadzili się do Choroszczu koło Białegostoku, bo pan Józef – rodem z Kutna – otrzymał dobrze płatną posadę gospodarczego w miejscowym szpitalu. Jego żona Aniela – z wykształcenia nauczycielka – zajmowała się domem, a w wolnym czasie uczyła dziewczyny szycia i haftowania. Do Morawskich los się uśmiechnął, życie zaczęło się układać. Sylwek z Basią rośli jak na drożdżach i sielanka trwała do 1939 roku.

Sylwester Morawski ma dziś 81 lat i mieszka w Kutnie. – Młody już nie jest i warto, by opowiedział, co przeżył – mówi jego żona Jadwiga.



ARCHIWUM RODZINY MORAWSKICH

Pociągiem do ojca

Kiedy wybuchła II wojna światowa, Sylwester miał 10 lat, a Basia – 9. Ich ojciec był podporucznikiem w rezerwie i tuż przed wybuchem wojny został powołany do wojska. – Udał się do Grodna, tam był okręg mobilizacyjny – mówi Sylwester. – Później jechał gdzieś w transporcie żołnierzy i wszystkich przechwycili Rosjanie. Tym sposobem trafił do obozu w Kozielsku. Do późnej zimy 1940 r. przysyłał nam krótkie listy, prosił między innymi o ciepłe ubrania. Później listy przestały przychodzić.

Anielę Morawską z dwójką dzieci Rosjanie wyrzucili na bruk z czteropokojowego mieszkania w Choroszczu. Była żoną polskiego żołnierza, wroga ludu. Rodzinę przygarnął wuj z Białegostoku. Tam mieszkali do 14 kwietnia 1940 r. – Tego dnia przyjechał oficer radziecki i kazał mamie spakować rzeczy, bo pojedziemy do ojca – opowiada

Rodzina Morawskich tuż przed wojną. Na zdjęciu od lewej: mama Aniela, Basia, proboszcz z Choroszczu, Sylwek i ojciec Józef

Sylwester. – Ciężarówką zawieźli nas na dworzec kolejowy w Białymstoku i zapakowali do bydłych wagonów. Były tam głównie kobiety i dzieci. Do jednego wagonu wchodziło 30 osób. Za ubikację służyła dziura w podłodze. Najgorsze było to, że jeszcze trzy dni staliśmy zamknięci w wagonach na stacji. Po tym czasie pociąg ruszył w nieznaną, do ojca. A ojciec już nie żył.

Podróż w wagonach trwała około trzech tygodni. Czasami była zupa, głównie chleb i woda. Na stacjach po rosyjskiej stronie z kranów leciał wrzątek. Kto miał herbatę, mógł ją zaparzyć.

W końcu pociąg dojechał do stacji końcowej Pavlodar. Było to miasto wojewódzkie na dalekiej Syberii, po stronie kazachskiej. Ojca nigdzie nie było widać. Morawskich zabrał pracownik sowchozu – państwowego gospodarstwa rolnego (odpowiednik polskiego PGR-u).

Przyjechał wozem, do którego zaprężone były woły.

Wierzchem na krowie

– Sowchoz znajdował się kilkadziesiąt kilometrów od Pavlodaru. W gospodarstwie było ponad 700 krów, półtora tysiąca owiec i uprawa zboża – wspomina pan Sylwester. – Mama zajmowała się pieniem, a ja trafiłem do grupy pasterzy. Latem wypasałem bydło i owce na stepach, a zimą karmiłem je i poilem. Ponadto siałem zboże, orałem, zbierałem siano. Siostra była za mała, żeby cokolwiek robić, zresztą ciągle płakała i chorowała.

Teren był łące stepowy, żadnych lasów, drzew ani większych gór, tylko bezkresna przestrzeń. – Nieraz za konia służyła krowa, nazywana wierzchnią krową – śmieje się pan Sylwester. – Tak, tak, jeździłem na krowie, skoro wszędzie daleko.

Sowchoz składał się z „budynków” gospodarczych i mieszkalnych. Budynki gospodarcze to obory, zbudowane z konstrukcji drewnianej pokrytej mchem

arpały wołu

i gliną. W podobnych lepiankach mieszkali pracownicy sowchozu. Niewielka konstrukcja drewniana, pokryta płatami trawy, darni, gliny i popiołu, była namiastką domu. W takim lokum – wielkości dużego pokoju – mieszkały nawet trzy rodziny. Czy było ciepło? – Zimą zamarzała woda w wiadrze – odpowiada pan Sylwester. – Kiedy palilo się w piecu, było względnie. Za opał służyły wysuszone krowie łajno albo trzcina i słoma. Drewna nie mieliśmy, bo tam w ogóle nie rosły drzewa. Nie mieliśmy ciepłych ubrań. Miałem tylko jedno portki, te same co na lato, a pod nimi nic więcej, nawet bielizny – wspomina. – W zimie nikt się nie mył. Wiosną odpadały z nas płaty brudu.

Na Syberii ludzie umierali nie tylko z zimna, ale i głodu. Ci, co pracowali w sowchozie, otrzymywali raczej żywnościowe w postaci kawałka chleba. I nic więcej.

– Latem było łatwiej. Siostra z mamą zbierały korzonki w stepie oraz dziki szczypior. Korzonki się suszyło, a po ususzeniu zgniatało na niewielkie kotleciki. Ze szczypioru była zielona zupa. Od tamtego czasu nie znoszę zieleniny w zupie – denerwuje się pan Sylwester. – Mięsa nie jedliśmy, no, chyba że udało się go zdobyć podstępem. Pewnego razu Czeceńcy udusili wołu. Zarządca powiedział, że padł. Kazał nam go wywieźć w step na pożarcie wilkom, ale nie wilki go rozszarpały, tylko my. Było co jeść. Wtedy mama ugotowała mięso. Innym razem wilki zagryzły krowę, ale zdążyliśmy je odpędzić, zanim wszystko zjadły. Też była uczta. Takie święta zdarzały się naprawdę rzadko.

– A opowiedz, za co dostałeś po barku – wtrąca pani Jadwiga.

– To było podczas jesiennej wypasu na stepie. Żeby się trochę rozgrzać i złagodzić głód, wytrzymałem krowę z dużym wymieniem, chwyciłem za strzyk i dołem prosto do gardła. Nie wiedziałem, że za mną stoi Mongoł. Tak dostałem przez bark, że długo nie mogłem się pozbierać.

AM 2039

Do pani Anieli dość szybko dotarły informacje, że mąż nie żyje. W czwartym roku pobytu na Syberii z głodu i nędzy zmarła również ona – nieraz odmawiała sobie jedzenia, żeby dzieciom starczyło. To był październik. Sylwek i Basia przez całą dobę leżeli z nieżywą matką na pryczy i nie mogli się z nią rozstać. Nie mogli uwierzyć, że nie ma już ani taty, ani mamy. – Zawinęliśmy matkę w koc i razem z moim kolegą zanieśliśmy ją na cmentarz. Pomógł mi wykopać dół. Głęboki, żeby wilki nie zwęszyły ciała – opowiada ze łzami w oczach.

Po śmierci matki upłynęły jeszcze dwa lata, zanim pojawiła się możliwość deportacji rodzeństwa do Polski. Przez Czerwony Krzyż starała się o to ciotka Lucyna Dwornicka z Kutna, siostra ojca. Ale równocześnie przyszły z pomocą decyzje polityczne. Na podstawie umowy Polsko-Radzieckiej Komisji Mieszanej do Spraw Ewakuacyjnych z 6 lipca 1945 roku, osoby narodowości polskiej mogły wrócić do ojczyzny. Pociąg, wypełniony szczerlnie zesłańcami, ruszył ze stacji Pavlodar pod koniec kwietnia 1946 roku. W wagonach byli też Sylwester i Barbara. Kiedy przejechali

granice polsko-radziecką, wszyscy wysiedli z wagonów, ukłękli na polskiej ziemi i zaczęli ją całować, wlewając przy tym morze łez. Skład jechał na zachód Polski, na tereny poniemieckie. Tam sybiracy mieli zacząć nowe życie. Sylwek z siostrą zostali w Kutnie. Ciotka Lucyna Dwornicka była wdową, jej mąż zginął w czasie wojny. Nie mieli dzieci. Zaopekowała się dziećmi brata jak swoimi. – Właściwie to nie umieliśmy pisać ani czytać, a co dopiero mnożyć czy dzielić. Ciotka Lucyna była nauczycielką, więc sama nas uczyła i jakoś skończyliśmy gimnazjum, a później nawet zdaliśmy maturę – wspomina pan Sylwester. – Poza problemami z czytaniem, były też problemy z ubieraniem. Nie mogłem przyzwyczaić się do bielizny i chodziłem bez. Ciotka musiała mnie dopiero ucywilizować – śmieje się.

Z Syberii przywiózł ze sobą tylko bat na woły. Siostra – koszulę z białego płótna. Sama ją uszyła z materiału, w którym pod koniec wojny ktoś im wysłał dary z Izraela.

– Czy na początku nie brakowało panu Syberii?

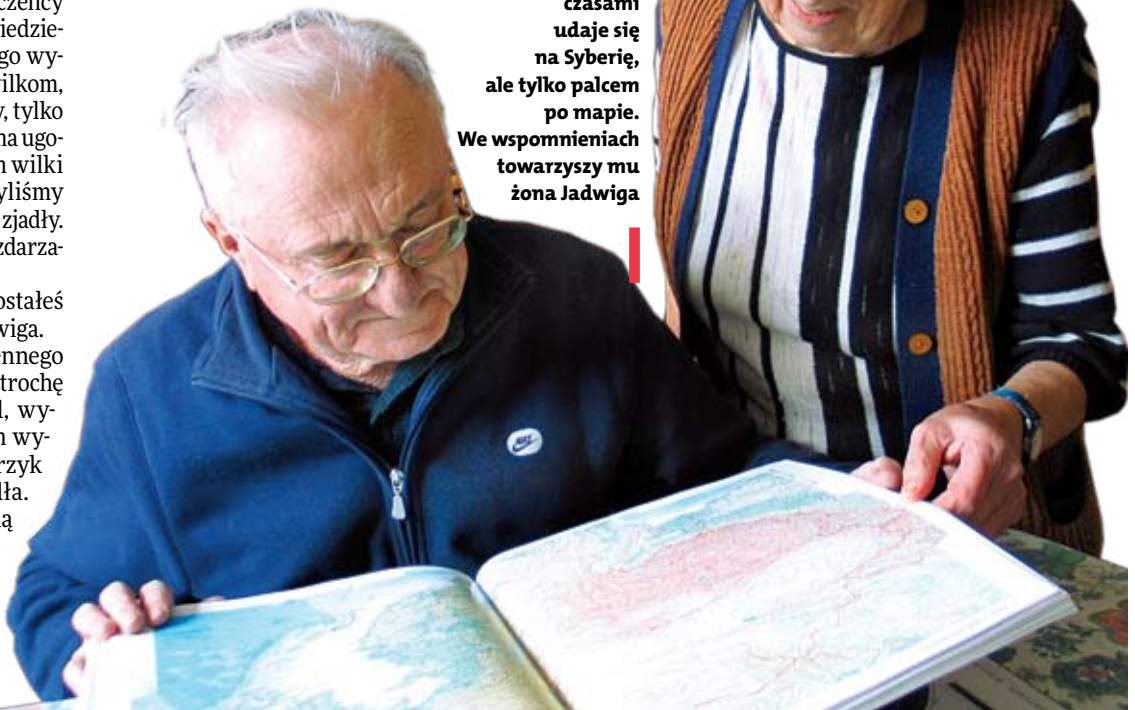
– Czy brakowało...? Może trochę. Zwłaszcza tych przestrzeni.

Po latach przyszło oficjalne potwierdzenie, że Józef Morawski został zamordowany strzałem w tył głowy. W książce „Katyń. Lista ofiar i zaginionych” widnieje jego nazwisko i zapis: „Morawski Józef, ks. do modlitwy, krzyżak, (AM 2039), (LZK)”. AM 2039 to skrót oznaczający urzędowy wykaz niemiecki z cyfrą oznaczającą numer kolejnych zwłok. Z kolei LZK to Lista Zaginionych w Kozielsku.

Pan Sylwester często ogląda telewizję Kazachstan. Zaopatrzył się też w kilka atlasów świata i czasami jedzie na Syberię, ale tylko palcem po mapie. Odżywają wtedy wspomnienia, a w nich: stukot pociągu, dziecięca radość, że na końcu drogi zobaczy ojca, bezkresne stopy, smak mleka pitego na pastwisku prosto z krowiego strzyka, wierzchoła krowa... I serce boli, że rodzice zostali po tamtej stronie granicy. ■

**Pan Sylwester
czasami
udaje się
na Syberię,
ale tylko palcem
po mapie.
We wspomnieniach
towarzyszy mu
żona Jadwiga**

MARCIN WÓJCIK



Nasi wielcy

Cudny przykład

To był upalny, czerwcowy dzień, a dokładnie wtorek 30 czerwca 1936 roku. **Nic nie zapowiadało, że dojdzie do tragedii.**

Rzeką Bzurą płynęli kajakami ks. Franciszek Cudny, wikary z Sochaczewa, i Waclaw Nowakowski, profesor miejscowego gimnazjum. W pobliżu sochaczewskiego młyna kajak profesora przechylił się, a on sam wpadł w nurty Bzury. Ks. Franciszek pospieszył mu z pomocą. Ostatecznie ani profesor, ani ksiądz już żywi z wody nie wyszli.

Słowo i serce dla każdego

W miejskich kronikach nie ma żadnych informacji na temat utonięcia profesora i księdza. W „Dziejach parafii św. Wawrzyńca w Sochaczewie” można tylko znaleźć lakoniczną wzmiankę: „Sp. ks. Franciszek Cudny, wikary parafii sochaczewskiej, ratując tonącego profesora śp. Waclawa Nowakowskiego, tu, w Bzurze z nim utonął 30 VI 1936 r.”. Jedynym obszernym źródłem wiedzy na temat nieszczęśliwego kajakowania jest 26-zwrotkowy poemat Waclawa Zielińskiego z Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej. Rok przed

wojną KSMM wydało ulotkę z poematem Zielińskiego.

„Express Sochaczewski” dotarł również do świadka, który pamięta to, co działo się 30 czerwca 1936 r. nad Bzurą. Według jego relacji, ks. Cudny został wyciągnięty na brzeg rzeki i próbowano go reanimować. Nie przyniosło to skutku i kapłana przewieziono do pobliskiego szpitala. – Byłem tam w tym czasie, gdy przywieziono ks. Cudnego i prof. Nowakowskiego – opowiada Ryszard Łakowski, który wówczas był ministrantem służącym do Mszy w szpitalnej kaplicy. – Obaj już, niestety, nie żyli. Zrobiło się zbiegowisko, niektórzy ludzie płakali.

Na Mszę św. żałobną księdza Cudnego przyszyły tłumy: dorośli, młodzież, dzieci oraz księży z okolicznych parafii i diecezji. Przyjechała rodzina ks. Cudnego z Mińska Mazowieckiego, gdzie miał się odbyć pochówek. Pożegnalne słowo wygłosił przyjaciel zmarłego – proboszcz parafii w Kozłowie Biskupim. Po Mszy trumnę z ciałem zmarłego odprowadzono ulicą Warszawską do rogatek miasta.

Waclaw Zieliński napisał: „Szedł długi orszak smutny, a wspaniała/ Główną ulicą przez Sochaczew cały/ Aż do kolejki, gdzie auto czekało./ By aż do Mińska zawieźć księdza ciała”.

Również z poematu Zielińskiego dowiadujemy się, że ks. Franciszek Cudny był postacią bardzo lubianą wśród sochaczewskiej

społeczności: „Bo dla każdego miał słowo i serce./ Każdemu pomógł, poradził w rozterce./ Lubił swych druhów, zawsze im oddany./ Był im Patronem – przez nich szanowany./ Razem się modlił, pracował i bawił./ Żał im największy po sobie zostawił”.

Mogiły księdza nie mamy

Niedługo po tragedii mieszkańcy Sochaczewa w pobliżu miejsca utonięcia księdza i profesora postawili krzyż, o czym nie omieszkali napisać Waclaw Zieliński: „W miejscu, gdzie zginął ksiądz i nauczyciel./ Stał krzyż skromny, a na nim Zbawiciel./ Wszystkich ostrzega zda się temi słowy:/ Na wieczność zawsze bądź człeku gotowy/ (...). I dalej poeta apeluje: „Chociaż mogiły księdza tu nie mamy/ Ten krzyż otoczmy swemi staraniami./ Składajmy wieńce przed krzyżem w pokorze./ Ustrojmy kwieciami, zwłaszcza w letniej porze”.

Krzyż stanął na niewielkim obelisku z informacją o ofiarach tragedii. Zarówno krzyż, jak i obelisk zachowały się do dziś. Jednak dopiero w tym roku cenne pamiątki wydobyto z zarośli. – Gdy byłem wikarym w parafii świętego Wawrzyńca, ktoś mi mówił, że czasami zapala świeczkę ks. Cudnemu przy krzyżu nad Bzurą, ale wtedy nie znałem tej historii i – powiem szczerze – nie zagłębiałem się w nią – mówi ks. Piotr



Ks. Franciszek Cudny utonął w Bzurze, mając zaledwie 30 lat

ARCHIWUM TYGODNIKA „EXPRESS SOCHACZEWSKI”

Żądło, dzisiaj proboszcz parafii św. Wawrzyńca w Sochaczewie.

Ale latem tego roku ks. Cudny znów zagościł w pamięci mieszkańców miasta. Staraniem Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Cmentarza parafii św. Wawrzyńca w Sochaczewie, pomnik ks. Franciszka został odnowiony, a 12 września odbyły się uroczystości związane z zakończeniem renowacji. Z tej okazji przed obeliskiem została odprawiona Msza św. w intencji ks. Franciszka Cudnego i prof. Waclawa Nowakowskiego. Nabożeństwo odprawił ks. Piotr Żądło oraz ks. Zbigniew Żądło, proboszcz pobliskiej parafii św. Brata Alberta Chmielowskiego. Na uroczystość przybyła także rodzina ks. Franciszka.

Przy krzyżu zatrzymują się ludzie nie tylko od święta. – Mieszkam po drugiej stronie Bzury, ale niedaleko jest kładka i często przychodzę tutaj z córką – mówi Justyna Pisarek. – Mam nadzieję, że tego miejsca nie zaleje woda albo nie zarośnie znów krzakami.

dk



Proboszcz parafii św. Wawrzyńca pokazuje, w którym mniej więcej miejscu 73 lata temu utonął młody wikary



Blisko miejsca, gdzie utonął ks. Cudny, ratując profesora, stanął obelisk z krzyżem. Justyna Pisarek z córką Natalią często tutaj przychodzą